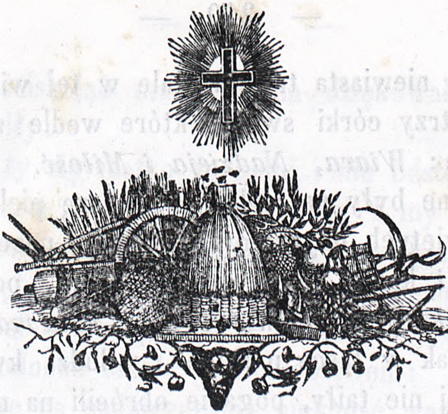
Tom IV. **Nr. 14.**

11. Maja. **1861.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święta Zofja i trzy jej córki.

Dawne to już temu czasy, jeszcze za panowania cesarzów pogańskich, jak żyła w kraju włoskim pobożna niewiasta imieniem Zofja. Sto i dwadzieścia lat mijało właśnie od męczeńskiej śmierci Chrystusa Pana, Zbawiciela naszego, a w pogańskich narodach rozchodził się dopiero słaby blask Jego wiary świętej. Poganie powstawali w obronie bożków swoich, i walczyli mieczem i ogniem wszystkich tych, co w sercu swojem zaszczepiali miłość i wiarę Chrystusową, i było ztąd na całej ziemi dużo skarg i boleści i okrutnych męczeństw.

Aleć wytrwali, i w cnotach lubujący ludzie, nie dbając na męki i prześladowania, chwytali tem bardziej złotą prawdę nauki chrześcijańskiej. I byli w tem zgoła jak owe ryby co chwytają za wędkę chociaż ich kaleczy; i na nich sprawdzały się słowa Jezusa Chrystusa, gdy mawiał o sobie, że jest rybakiem serc ludzkich.

Więc i ona też niewiasta Zofja nie bała się wyznawać wiary Chrystusa Pana, i w wierze tej żyła z mężem, cnotliwa, cicha i bogobojna. A skoro mąż jej miły umarł niezadługo, to

choć sama słaba niewiasta trwała stale w tej wierze, i wychowywała w niej trzy córki swoje, które wedle zwyczaju czasu onego zwały się: *Wiara, Nadzieja i Miłość.* A tak matka i córki, choć piękne były na ciele, to jeszcze piękniejsze na duszy; dobrych świętych obyczajów, wszelkiej uczciwości i bojaźni Bożej pełne; iż każdy spojrzawszy na nie, powtarzał znaną przypowieść: *Jakie drzewo takie różczki, jaka matka takie córki.*

Lecz gdy tak w łasce u Boga i u ludzi kwitnęły, a służby chrystusowej nie taiły, poganie obrócili na nie oczy, i donieśli do samego cesarza, jakoby niewiasty owe gardziły dawnemi bogami, a nowotnego Jezusa wyznawały. I wnet posłano sługi po nie, aby się stawiły przed sądem.

Zmięszał na razie ten rozkaz owe słabe niewiasty, lecz wnet matka i córki jak sercem tak i ciałem nierozdzielne i jakby w jeden wieniec uplecione, padły na kolana wzywając Boga, który się bać nie kazał tych, co tylko ciało zabić mogą. Jakoż przeżegnawszy się krzyżem świętym poszły za sługami, i stanęły odważnie przed pogańskim starostą. A ów widząc niewiastę i trzy niedorosłe dzieweczki tak nie lękliwe, zdziwił się bardzo i pytał zkądby by były i jakiej są wiary.

— Jestem sługą Chrystusa, w wierze jego wychowaną — rzeknie święta Zofja — Chrystusowi poświęciłam swoje miłe córki, i chcę wraz z niemi prawdziwemu Bogu wiernie dotrwać do końca.

Więc nato kazał starosta wszystkie trzy wrzucić do ciemnego więzienia. Aleć zamiast przestrachu w onem więzieniu, obudziła święta Zofja w sobie i w córkach większe męztwo i stałość.

— Pomnijcie najmilsze dziatki — mówiła ona do córek — żem was nietylko wyżywiła i odziała, alem też wyuczyła was bojaźni Bożej, pisma świętego i nauk Chrystusowych; teraz się na was pożytek nauki mej pokazać ma, żebyście się żadną krzywdą, męką i obietnicami uwieść do złego nie dały. Zbawiciel nasz który z wami jest i będzie, da wam posiłek niezwyciężony, a tak uczynicie ochłodę starości mojej a sobie wysłużycie niezwiędły wieniec nieśmiertelności i szczęścia. Bo któżby się wahał za trochę krwi wylanej wiekuistej dostąpić radości!

A córki ściskając matki kolana dziękowały jej za te upominania i mówiły:

— Módl ty się matko za nami i nie odstępuj nas, a ziści słowa twoje Jezus, da nam moc swoją i my słabe dzieweczki podepczemy niezbożność i otrzymamy zwycięztwo!

Tak minęły trzy dni, a po trzech dniach kazał starosta wieść przed siebie matkę wraz z córkami, i chciał je najprzód zmiękczyć łagodnemi słowy i pochlebstwem:

— Patrząc na nadzwyczajną piękność waszą — mówił poganin — upominam was ojcowskiem sercem, abyście mnie słuchały i bogom naszym czyniły ofiarę; inaczej poginiecie, matce waszej czyniąc smutek.

Ale panienki tak mu odpowiedziały:

— My wiecznie Chrystusa nieśmiertelnego oblubieńca chcemy kochać, i nie lękamy się cierpieć dla niego. Ani matce naszej, ani nam szkody nie uczynisz, choćbyś nas też i śmiercią ukarał; bo jej nic milszego nad wiarę córek i cnotę, a nam młodość nasza na lepsze obrócić się nie może, jak żebyśmy za krótką boleść wieczną radość odebrały.

Więc pogański sędzia zawrzał strasznym gniewem na taką odpowiedź, a gdy najstarsza z panienek nie chciała żadną miarą odstąpić swojej wiary, tak kazał ją bić srodze, kłaść na rozpalone węgle i innemi dokuczać mękami. A skoro panienka wszystkie bole mężnie i cudownie przetrwała, zawsze stojąc przy świętym uporze swoim, rozkazał aby jej głowę ścięto.

I nie widać było wtenczas ani w panience onej, ani w matce ani w siostrach rozpaczy i boleści niewieściej. Dzieweczka wesoło i ochotnie podała pod miecz młodą szyję, i poszła do nieba po wieczną nagrodę; a matka modliła się w tej chwili, a siostry wzdychały radośnie do ojca niebieskiego, prosząc o męztwo i wytrwałość.

Bezbożny sędzia, zwyciężony od tak młodej panienki, chciał hańbę swoją na innych nagrodzić; więc obiecywał średniej z siostr różne nagrody, byle się pokłoniła bogom pogańskim. Ale ona nad wiek młodociany stateczna, stała niewzruszona:

— Czy myślisz — mówiła mu — żem ja nie jest siostrą

tej, którąś zabił? Nic innego sobie po mnie nie obiecuj, tylko to coś w niej widział.

Jakoż wytrzymała również srogie męki jak siostra, a wśród katuszy wołała:

— Nieszczęsny krwi żarłoku, panienka słaba i młoda śmieje się z twojej mocy, bo ufa Bogu swojemu!

Rozjuszony temi słowy sędzia kazał jej ściąć głowę, a ona słuchając świętych napomnień matki, z wielkiem sercem dostąpiła chwały męczeńskiej.

Przyszła kolej na trzecią. Widząc sędzia tę słabą dziecinę, miał więcej nadziei, że ją nawróci do pogańskiej wiary. Aleć daremne były jego namowy, bo dziecię odpowiadało:

— Próżno słowa tracisz, jam rożczka jednego pnia, co i siostry moje; jednej matki córki jesteśmy, nie chcę je zawstydzić i okazać się wyrodną.

Więc poganin kazał ją chłostać i katować, a ona dziecina modliła się tylko do pana Jezusa, i Imię święte Jego wymawiała. A matka jej dziwna, święta Zofja, nie pomnąc ani na chwilę na sieroctwo swoje, czekała tylko żeby i na tej trzeciej pocieszoną była, i wołała do niej:

— O prawa moja córko, która czcisz rodziców twoich, któż cię wysławiać nie ma? Idź do oblubieńca po wieniec niezwiędły; oto już czekają na cię aniołowie, którzy cie poprowadzą.

A gdy i ta trzecia córka szyję pod miecz podała, matka ukląknąwszy zawołała tylko wielkim głosem:

— O jakąż ja ofiarę trójcy świętej posłałam w Niebo!

A owo i sędzia okrutny poprzestał na tej ofierze, i puścił matkę wolną, a dozwolił jej nawet pobrać ciała córek swoich, i oddać im cześć, jaka przystała ich męczeńskiej śmierci. Lecz śmierć miłych córek, była gorszem męczeństwem dla serca matczynego, niż wszystkie cielesne katusze. A skoro trzeciego dnia zaszła św. Zofja na grób swoich dzieciątek, tak modliła się tam długo, aż wreszcie oddała duszę czystą panu Bogu, i połączyła się na wieki z córkami swemi.

Pamiątkę tej świętej pańskiej obchodzimy 15go Maja; módlmyż się więc dzieci na dniu tym do świętej Zofji, do tej matki

wielkiego serca, aby wstawiła się do Boga wszechmocnego i za nasza matką, za tą ziemią ukochaną a nieszczęsną!

PIEŚŃ
do Najświętszej Panny.

Niebieskiego dworu Pani,
Do Ciebie z płaczem wołamy;
Ewy synowie wygnani,
Litości Twojej żądamy.

Na wielu nam rzeczach zbywa,
Nędza człowieka uciska;
Tylko swą nagość okrywa
Tem, co z łaski Stwórcy zyska.

Ty najbliższa twego Syna,
Powiedz mu o naszej doli;
Niech wad naszych zapomina,
Lepszego bytu pozwoli.

Matko, my dziećmi twojemi!
Patrz na stan nasz, nie na winę;
Módl się za nami grzesznemi,
Teraz i w śmierci godzinę.

Krzywda sieroca.

Już słoneczko na zachód się chyliło, z plebanji dzwonek na Anioł Pański dzwonił po rosie ludziom na dobranoc panu Bogu na podziękowanie, i ludzie i bydło wracało z pola. Słonko jeszcze przystanęło nad lasem, i ogląda się jakby mu żal było odchodzić z tych miejsc. Bo też cudne było to miejsce: sioło zasobne, w sady schowane, ziemie żyzne na około. Ale cóż, kiedy nie zawsze na dobrej ziemi dobrzy ludzie mieszkają, i nie każdemu dosyć tego, co mu pan Bóg dał, choć mu dał pełną garścią.

Otóż i w onej wiosce było dwóch braci: Szymek i Walek,

co im za ciasno było siedzieć w ojcowiznie, za mało pola, bo każdego z nich kłuło szczęście drugiego. Więc dalej w pozwy, procesa, i kilka lat włóczyli się po sądach. Już to prawdę powiedzieć trzeba, że Szymek zawsze chętniejszy był do zgody jak Walek, i chętnie chciał ustąpić połowę tego łanu, o który się prawowali, bo Szymek miał już żonę i dzieci, to jemu tam nie chciało się jeździć po cyrkułach, a kłaniać się wciąż i pieniądze na stemple i pisarzy wydawać; jemu lepiej się zdawało robić w roli i spokojnie chwalić pana Boga. Ale Walek pędziwiatr, nieżonaty jeszcze a hulaka wielki, niechciał słyszeć o zgodzie, zwłaszcza, że mu jakiś pisarek urlopnik, co się po wsiach włóczył, ciągle obiecywał, że mu cały grunt po ojcach wyprocesuje. To też Walek łożył a łożył ostatni grosz na procesa, a co nie dał na proces, to przepił z pisarkiem, mówiąc:

— Dziś przepiję, to jutro wygram i znów będzie za co hulać.

Ale nie tak się stało. Szymek wygrał proces, a Walek kiedy przyszło koszta zapłacić to i swój grunt sprzedać musiał i do takiej przyszedł nędzy, że za parobka służyć musiał u zagrodnika.

Lecz i Szymkowi nie na pociechę była wygrana. Jak mu tyle gruntu przybyło, tak jeszcze bardziej zeskąpiał i jeszcze więcej chciał mieć. Więc pracował od świtu do zmroku, i żonę słabowitą napędzał do roboty, bo czeladzi trzymać nie chciał, a ciągle narzekał, że biedny, że ciężkie czasy, a to wszystko tylko dla tego, żeby mu ludzie nie radzili pomagać bratu, co w biedzie był wielkiej.

Co mu sąsiad który napomknie o bracie to Szymka jakby licho opętało tak się rzucał i gniewał:

— To się ta mógł nie procesować — mawiał wtedy — nie bylibyśmy oba na biedę przyszli.

— Ej Szymku nie grzeszcie tak — mówili sąsiedzi — ta wy macie dziękować Bogu i chałupę i grunt, a on uczciwszy uszy golec.

— Mam, to swoje — mawiał Szymek — i na to ciężko pracuję; a on że biedny to sam tego chce, czemu nie pracuje?

Sąsiedzi wtedy kiwając głowami odchodzili od niego, a

Szymek dalej jak skąpił tak skąpił, pracował jeszcze bardziej i grosz chował do skrzyni, i byłby ogromnym bogaczem został, tylko że to pan Bóg z góry patrzy na sprawy człowieka i karze takich, co nie pamiętają o nim i jego przykazaniach. Więc i na Szymka przyszła kara Boża, bo się oberwał i ciężko zachorował. I co dzień to bardziej słabiał i widział, że umierać trzeba i myślał sobie wtedy:

— Mój Boże, toć ja zbierał i zbierał jakby człek tu wieki miał mieszkać, a na niebo niczem sobie nie zasłużyłem.

I tknęło go sumienie i przyszedł mu na myśl brat, więc się ozwie do żony.

— Małgorzato! niedługo mnie tu na ziemi! Nim ksiądz proboszcz przyjdzie z panem Jezusem poślij po Walka, co bym się z nim pojednał, bo mi jego krzywda bardzo na sumieniu leży.—A działo się to właśnie tego wieczora kiedy to słonko tak pięknie zachodziło.

I niedługo weszło w izbę Szymona ludzi kilkoro, i ksiądz pleban i za nim brat Szymka, bo proboszcz go tu przyprowadził z własnej woli, chcąc ich pogodzić przy śmiertelnym łożu.

— Walku! — rzekł Szymek — pokrzywdziłem cię bardzo, ale krzywda nie wyszła mi na dobre, bo ano pracowałem jak bydle by jeszcze więcej mieć, i ukarał mnie pan Bóg, żem nie zaznał spokojnego życia choć mogłem. Zostawiam kobietę słabą i sierot dwoje. Bądźże ty im ojcem i opiekunem. Połowę gruntu tobie daję, a drugą niech mają sieroty, oddasz im jak dorosną.

Potem Szymek uściskał płaczącego Walka, ludzie się pobeczeli, i niezadługo potem Szymek żyć przestał.

W rok po nim i żona jego zaniemogła bardzo i umarła, więc Walek sam został z sierotami i pracował uczciwie dla nich i dla siebie. Ale nieszczęście chciało, że Walkowi wpadła w oczy praczka ze dworu. Na wyżynku, czy w karczmie, nieraz za nią chodził i czapki poprawiał i częstował, a ciągle mówił:

— Ej! panno gdybyś ty chciała być moją!

Praczka zrazu na chłopską sukmanę nosem kręciła, bo jako we dworze uchowana pańskość miała w głowie, ale że była mądra więc sobie myślała:

— Nieźle by to było być sobie kmietką na swoim chlebie!— Jeno jej sieroty solą w oku były; więc mówiła Walkowi:

— Ej, gdybyś ty byłuczciwym gospodarzem a nie parobkiem, to bym się tam może i niewiele namyślała.

Walek otworzył oczy i gębę, bo mu się nie mogło pomieścić we łbie, zkąd panna Kunegunda jego zamożnego gospodarza parobkiem nazwała. A Kundzia nuż się przymilać a tłumaczyć, że jak sieroty dorosną to go z gruntu wypędzą.

— Oj, co nie wypędzą to nie wypędzą — mówił Walek — ta przecie widzą, że ja dla nich długi czas pracował, a wreszcie toć mi ich ojciec a mój nieboszczyk brat połowę zapisali, więc nam wystarczy na uczciwe życie panno Kunegundo — i to mówiąc poklepał ją po plecach.

— A gdzież masz zapis? — zapytała roztropna Kundzia.

Walek się zasmucił, bo rzeczywiście zapisu nie miał, więc panna Kunegunda dodała:

— Ja na biedę pójść nie chcę, wolę do śmierci służyć. Wyprocesuj sobie grunt, to pójdę za ciebie.

Powiedziała, obróciła się na jednej nodze i wyleciała z karczmy. A Walek zmartwiony wrócił do domu, siadł na ławie i począł rozmyślać. To mu Kundzia chodziła po głowie, ale żal mu się wnet robiło sierot; to znowu myślał sobie: — Nieźle by to było mieć chałupę i rolę, to by człek miał i Kundzię i poszanowanie u ludzi i przytułek na stare lata, a tak człeka byle kiedy mogą z chałupy wygnać. —Myślał i myślał, a co sierotki do niego przyjdą to się na nie gniewa i odpędza od siebie, bo te sierotki przypominały mu, że on u nich służy, i smutne twarzyczki sierot były mu strasznym wyrzutem.

— Co to wam tatusiu?—pytała Zośka, bo tatusiem nazywały go sieroty — coś wam musiało nie wydarzyć się w polu, boście tak pomarkotnieli jak tamten nasz tatuś, kiedy mu w polu nie urodziło.—Dziwna rzecz, że Walkowi wydało się, że słowa sierotki były mu zarzutem, że nie pracuje w polu dla nich, że opuszcza się w gospodarstwie: więc się rozgniewał i wrzeszczał na czeladź i dzieci, jakby chciał zakrzyczeć sumienie co w nim wciąż mówiło: — Oj źle chcesz zrobić Walku.

Dobrze to mówią ludzie:—gdzie djabeł nie może tam babę

pośle — toteż posłał do Walka babę ale nie starą jeno urodziwą, ładną pannę Kunegundę. Panna Kunegunda od tego czasu coraz częściej niby przypadkiem nawijała się na oczy Walkowi. To idąc do kościoła spojrzała do jego sieni; to go nadybała u przełazku w ogrodzie, kiedy Walek wracał ze dwora; a zawsze mu się przymiliła, białe ząbki szczerzyła do niego, że się biednemu Walkowi aż gorąco robiło pod czupryną. Ale co się do niej zbliży, co chce uścisnąć i zapyta: — Panno Kunegundo kiedyż dać na zapowiedzi? — to panna Kunegunda zgrabnie mu się z rąk wywinęła i mówiła: — Będą zapowiedzi jak ty kmieciem zostaniesz. — I dotąd gadała, gadała, aż się Walkowi w głowie przewróciło. I dla sierot był coraz gorszym; aż jednego dnia zabrał papiery po nieboszczyku bracie i pojechał z niemi do miasta. A z miasta wrócił pijany ale nie sam jeno z owym pisarkiem. Jak zaczęli się kręcić, kłaniać, płacić, tak też i proces wygrali, bo i świadków przekupili napitkiem i obiecankami, jako że w świecie o złych ludzi nie trudno. A sierotki biedaczki ani wiedziały jak ich stryj obdarł z majątku.

Idzie spowiedź wielkanocna, a tu na Walka strach, bo jakże tu nie iść do spowiedzi, a na spowiedzi jakże nie powiedzieć dobrodziejowi, że pokrzywdził sieroty. A dobrodziej wtedy pewnie nie dałby rozgrzeszenia i majątek wróciłby kazał, a jakby wrócił, toby się Kundzia znowu odwróciła od niego. Myślał i myślał i biedził się, aż tu przy wódeczce w karczmie nuż mu pisarek perswadować:

— Głupi Walek, i czegoż ty się boisz. Wygrałeś proces to rzecz jasna, a jeżeli niesprawiedliwie, to nie twój grzech jeno sędziów, bo to nie ty sądziłeś; więc na co proboszczowi wiedzieć żeś ty proces wygrał.

Uradował się Walek na takie słowa i bez trwogi poszedł do spowiedzi, a nie pomyślał nawet że to nie sędziowie grzeszyli, jeno on grzeszył, że sędziów i świadków przekupił. I wziął hostję przenajświętszą, ale na potępienie siebie jak to wnet zobaczycie.

Po Wielkiej Nocy było wesele z panną Kunegundą. Sąsiedzi krzywili nosami że Walkowi się zachciało panny ze dwora, a gardził porządnemi dziewkami kmieci, ale na weselisko przyszli

licznie, bo co im to szkodziło najeść się i napić nie za swoje pieniądze. A u Walka wesele było sute, jadła i napitku co niemiara, a sieroty, za których pieniądze Walek sprawiał wesele, siedziały w komorze w brudnych odzieniach i płakały, że ich wypędzono z izby. Biedne sierotki nie płaczcie, bo pan Bóg z wami! I zesłał sierotom pan Bóg Aniołów stróżów, i Anioły stróże uspiły dzieciątka, i dzieciątkom śniły się otwarte niebiosa, i matka i ojciec w białych szatach szli do nich i karmili rajskim chlebem głodne dzieciątka.

Po weselu panna Kunegunda, a teraz pani kmiotka Walkowa, zabrała się na ostro do gospodarstwa i do Walka. I wnet pieniądze przeszły z trzosa Walkowego do skrzynki Kundzinej, i czeladź cała jeno na gospodynię uważała, a biedny Walek spuścił uszy i robił co kazała Kundzia.

Jednego dnia Kundzia przysiadła się do Walka i nuż gadać:

— Walku! masz żonę lepszego rodu więc po co tobie być chłopem. Ot lepiej przebierz się w kapotę, pojedziemy do miasta, kupimy dom: ty będziesz furmanił, ja prała i będziemy jakoś w większym honorze u ludzi, i dzieci nasze nie będą już prostemi chamami.

Nie chciało się ta bardzo Walkowi usłuchać żony, ale jak zaczęła lamentować, że jej świat zawiązał, że ona tu między chamami nie wysiedzi, a w końcu jak mu zaczęła dogadywać jaką on to ma pańskę minę, żeby nikt nie poznał, że on cham — tak też Walek i przystał. Smutno mu się ta zrobiło, kiedy sprzedał ojcowiznę i wychodził z chaty, gdzie jego tatuś żył; ale pocieszał się tem, że zostanie szlachcicem, i dzieci jego nie będą chamami. Sąsiedzi kiwali tylko głowami, i pokazywali sobie palcem, że biednemu Walkowi w głowie się przewróciło.

Ale najgorzej stało się naszym dwóm sierotom. Póki Walek był na wsi, to żywił je i chował, bo bał się wyganiać z domu, żeby o tem we wsi niebyło dużo gadania; ale teraz do miasta brać ich nie chciał, bo nie wiedział coby tam z niemi zrobił. Jednego więc dnia dał im po bochenku chleba i po kilka groszy, i wygnał z domu mówiąc:

— Dość już najedliście się mojego chleba.

A stało się raz potem kiedy już w mieście mieszkali, że Walkowi przypadła daleka droga, a żona została w domu złożona obłożną chorobą. Pomyślnie się wiodło na furmance Walkowi; pieniędzy nazbierał dość i wracał do domu. Jechał przez las i myślał sobie o żonie, o dziecku, które miał zastać za powrotem, i myślał sobie jak to wiele jemu trzeba będzie zarabiać, żeby mógł dzieci swoje wyprowadzić na panów, żeby mogły jeździć powozami jak grafowie. Myślał i myślał, aż tu zajdzie mu drogę dwoje sierot, dzieci brata jego w łachmanach i boso, i nuż prosić:

— Zlitujcie się też nad ubogiemi sierotami! — Nie mówiły tatusiu, bo nie poznały stryja tak go zmieniła kapota z pętlicami, wąsy i czapka na bakier. Ale Walek poznał dobrze sieroty, przeląkł się ich chudych twarzy i sumienie poczęło mu głośno gadać: — Oddaj coś wziął tym sierotom! — Ale Walek oddać nie chciał, bo Walkowi potrzeba było pieniędzy dla własnych dzieci, które chciał widzieć panami, zaciął więc konie i pojechał by nie słyszeć prośby sierot i zapomniał nawet rzucić im jałmużnę. I sierotki zostały na drodze płacząc. A płacz sierocy to przekleństwo Boże i nie długo czekał na nie Walek. Zajeżdża przed dom a tu drzwi i okiennice zaparte. I wyszła ku niemu przekupka, co siedziała obok jego domu.

— Oj Walenty, Walenty! — mówiła — nie wiem czem wy tak zawinili u pana Boga że was tak srodze ukarał, bo oto żonę waszą zawieźli wczoraj do szpitalu warjatów, a dziecko nowonarodzone na cmentarz zaniesiono.

Zdrętwiał Walek z przerażenia i niewyraźnie bełkotać począł, a przekupka ciągnęła dalej:

—Bardzo była chora wasza kobieta. Nawiedzałyśmy ją nieraz i pocieszały. Jeno ciągle sny miewała przeokropne. Aż jednej nocy jakoś przed niedzielą złodzieje wyłamali okiennice i zakradli się do izby. Kobiecina wasza nagle się zerwała i krzyczeć poczęła, a kiedyśmy nadeszły już od rzeczy mówiła i dzieciątko nowonarodzone nieżywe przy niej leżało.

Nie potrzebuję wam mówić moi mili, co się działo w duszy Walka. Wszak nie jeden z was ma żonę, dzieci, to wie co to za boleść człowiekowi widzieć własną kobietę, jak patrzy na ciebie

wielkiemi oczyma niby nierozumne bydle a niepoznaje cię i gada, że się jedno drugiego nie trzyma. A pomyślcie no jeszcze jak Walek rad był doczekać się dziecka. A tu dziecka ani zobaczył nawet, a już w chłodnej usnęło mogile.— To też nie dziw, że Walek zaturbował się strasznie i z turbacji wielkiej pić począł i przepił chudobę swoją, a na starość tułał się po żebraninie i spał pod ławą w karczmie lub w błocie. Tak to strasznie pan Bóg ukarał go za to że pokrzywdził sieroty. Nie pokarał go zaś pan Bóg dlatego żeby poznał swój grzech, ale żeby innym był przestrogą i przykładem.

A sieroty wzięła jedna dobra pani na wychowanie. Dzieweczka wyrosła i poszła dobrze za mąż, a chłopczyk gdy dorósł nie chciał być niczem innem jeno księdzem. I został księdzem, i teraz modli się za dusze rodziców swoich, za szczęście siostry swojej, za wszystkich ludzi i za stryja swego, co taką krzywdę sierotom wyrządził.

Stach.

GOSPODARSKA POGADANKA,

O warzywach.

Posłuchajmyż, co Dobrodziej rozpowiadał dalej o warzywach:

— Ot zaraz po burakach mamy *brukiew*; bo uprawa pod nią jest prawie taka sama jak i pod ćwikłę. Najlepiej udaje się i na lżejszym gruncie, na jakim i róść by nie chciała ćwikła. Nasienie z brukwi zasiewa się najprzód na dobrej ziemi w ogródku, a potem rozsadę przesadza się albo w ogrodzie albo na polu. Pamiętać zaś trzeba, że brukiew więcej ogrzebywania potrzebuje, aniżeli ćwikła, lecz nie trzeba jej całkiem przysypywać. Brukiew jest mniej trwała od ćwikły jakoż nie ma jej długo co chować, lecz najprzód spotrzebować, bo gdy leży na kupach na wierzchu ziemi to prędko gnije. Przez zimę trzyma się najlepiej w dołach, a użytek z niej tak jak i z buraków: służy na pokarm dla ludzi, i jako dobra pasza dla bydła.

Odchrząknął ksiądz proboszcz, i tak dalej prawił:

— Pewnie znacie wszyscy *rzepę?* Owóż *rzepa* nie jest tak pożywna roślina jak brukiew albo ćwikła, ale bardzo pożyteczna, a to dlatego, że nie potrzeba jej tak dobrego gruntu i tak starannej uprawy, jaka jest przy brukwi i burakach. Rzepę można siać po oziminie tego samego roku w ściernisku. Jest także i z tej jarzyny pożytek wielki w gospodarstwie. Jest ona smaczną strawą dla człowieka, a dla krów myśmienitą paszą, szczególnie w jesieni. Krowy dają od rzepy dużo i żyznego mleka.

Rzepę, brukiew i ćwikłę może i powinien każdy, choćby najmniejszy gospodarz, hodować nietylko w ogrodzie ale i w polu. Dla ćwikły może wybrać mały kawałek ziemi i dobrze go przyprawić; brukiew może zasadzić albo przy kapustniku, albo gdziekolwiekbądź, czy to między oziminą, czy między jarzyną, czy na kawałku łąki gdzie się trawa wypala, czy nad stawkiem; a rzepę zasiać może na jakim obranym kawałku po sprzątnieniu oziminy. Nie wiele to ziemi zabiera, nie wiele pracy kosztuje, a pożytek jest wielki; można krowom dawać dobrą paszę przez cały rok, a zato mieć dużo mleka, masła i sera.

Teraz powiem wam po krótkości o jarzynie, co ją wszyscy dobrze znacie, bo o *kapuście.* Kapusta różni się tem od brukwi, rzepy i ćwikły, że te rosną w korzeń i z tego korzenia główny jest pożytek; kapusta zaś rośnie w liście, które się mocno w tęgą głowę zwijają, i z tego liścia główny jest pożytek. Im lepiej kapusta się udała, tem potężniejsze ma głowy. Jest kilka gatunków kapusty, główne są dwa: pospolita i włoska. Włoska kapusta jest smaczniejsza, ale kisić jej nie można.

Nie będę wam tu rozpowiadał jak zbierać nasienie, gdzie ono siać i kiedy, co robić z rozsadą i tak dalej, boć przecie koło tego chodzicie, toć i musicie wiedzieć. Powiem wam tylko że jak wszystkie rośliny tak też i kapustę można przez dobrą i staranną uprawę coraz więcej udoskonalać, coraz mieć większą i smaczniejszą.

Dobrodziej przestali na chwilę, a Wojciechowa zapytała:

— Mój jegomościuniu, a czy też ona *sałata* co po miastach sprzedają, to takżeż kapusty? Boć takie ma liściska jak kapusta, jeno co jaśniejsze i delikatniejsze.

— Właśnie chciałem wam o niej mówić — odrzekł ksiądz

proboszcz. — *Sałata* nie jest z kapusty, jak wy mówicie, ale należy do gatunku kapusty, tak jak na ten przykład jaskry po łąkach, co są i niskie i wysokie i o małych i o wielkich pałkach, a wszystkie odrazu poznasz że jaskry. Tak też i do gatunku kapusty należą jeszcze z warzyw: *sałata, jarmuż i kalafiory.*

Owóż w każdym ogrodzie i ogródku mieć można i powinno się mieć sałatę, jarmuż i kalafiory; bo sałata prędko rośnie i daje chłodzącą i smaczną w lecie potrawę; jarmuż można jadać zimą i latem jak kapustę. Często kobiety wydają dużo pieniędzy na sałatę, kiedy nie ma na przedeżniwku co jeść, chociażby bez trudu mogły mieć własne warzywo z ogródka swego. Albo też zbierają w biedzie lebiodę i inne zielska, i tem żywią pracującego ciężko w polu męża, dzieci i siebie. Zamiast nędznej i niezdrowej lebiody i jakiegoś innego zielska, dobra żona i dobra gospodyni dawać powinna mężowi i dzieciom własnego hodowania sałatę, jarmuż, ogórki, rychłą kapustę i inne pożywne warzywa. Co więcej, gdyby wiejska kobiecina pilnie pracowała w ogródku, gdyby zamiast wygrzewać się na słońcu, ogródek skopała, wymierzwiła, zasiała, pełła i polewała, mogłaby co tydzień na targ zanieść do miasta kosz świeżych warzyw: sałaty, rzodkiewki, ogórków, spinaku, jarmużu, kalafiorów i innych ogrodowin. W mieście to chętnie kupią i dobrze zapłacą, a za te pieniądze mogłaby dobra gospodyni kupić kawałek mięsa, kawałek okrasy i nie zielsko, ale pożywną potrawę zanieść mężowi w pole, który ciężko pracować musi.

Niechaj się tylko postara o nasienie najlepszej sałaty: są tak piękne gatunki, że sałata dobrze pielęgnowana dostanie takie prawie głowy jak kapusta. Ileżby to za taką sałatę gospodyni zebrać mogła pieniędzy w mieście! Sałatę mieć można w ogródku przez całą wiosnę i lato.

Jarmuż zasadzony w ogrodzie ku końcowi lata, dostarczy przez całą jesień i zimę smacznej jarzyny, a tym jest lepszy, im bardziej go mróz przejmie.

RÓŻNOŚCI.

Pożary. Kilka było u nas pożarów zeszłego miesiąca kwietnia. I tak z 10go na 11go w nocy zgorzało dwanaście domów w mieście *Zbarażu*, w obwodzie tarnopolskim. Przy dochodzeniu zkąd się wziął ten ogień, pokazało się, że był przez złego człowieka podłożony w domu żyda Josla. Tak więc złość jednego, sprawiła tyle zniszczenia i skwierku.

Drugi pożar był w *Sokalu*, w obwodzie złoczowskim. Ogień pochłonął dwa domy z wszystkiemi budynkami gospodarskiemi. Trafił się przytem ten nieszczęśliwy wypadek, że jeden z gospodarzy całkiem się spalił, a drugi został mocno poparzony. Niech tam pan Bóg ma w swej niebieskiej opiece duszę jednego, a niech zeszle uzdrowienie drugiemu!

W *Mostach Wielkich*, w żółkiewskim obwodzie wybuchł także ogień 13go kwietnia, niewiedzieć z jakiej przyczyny. Spaliły się w tym ogniu stajnia i ujeżdżalnia wojskowa.

Aleć co najstraszniejszym wypadkiem to był pożar w *Załubińczu*, wiosce o pół mili od miasta Nowego Sącza odległej. O północy z 17go na 18go kwietnia wybuchł ogień w małej stodole załubinieckiego gospodarza Józefa J. a wicher był właśnie taki straszny, że blisko o ćwierć mili niósł iskry i węgle jarzące. Zgorzał w tym ogniu cały dom i zabudowania gospodarskie Józefa, i sąsiedni folwark puszczony w dzierżawę; spaliła się też szopa, pięćdziesiąt sągów drzewa na składzie u poblizkiego żyda karczmarza, a nawet trafiło się przy tym wietrze, że blisko o ćwierć mili zgorzał dom innego gospodarza ze wszystkiemi przynależnemi budynkami. Dzierżawca folwarku i ów drugi gospodarz stracili w ogniu prawie całą chudobę, spory zapas zboża, słomy, siana i wszystkie sprzęty gospodarskie. Strata to wprawdzie wielka, ale co największe nieszczęście było to, że w płomieniach zginęło czworo dzieci, których w żaden sposób nie można było uratować, bo pożar był nagły i niespodziany. Szczęście jeszcze, że ogień nie dostał się do piwnicy karczmarza, kędy stało sto beczek okowity, bo by się było pewnie i w mieście zajęło.—Po śledztwie pokazało się, że ogień podłożył jeden patentowy inwalida z Łososiny górnej w limanowskim powiecie, imieniem Jakób. Chciał on się tym sposobem zemścić na biednym Józefie, a pchnął i innych w nieszczęście. Niechże więc pan Bóg stokrotnie wynadgrodzi nieszczęśliwym pogorzelcom tę złość i zaciekłość owego człowieka.

Rabunek. Także zeszłego miesiąca z 9go na 10go w nocy, napadli złodzieje na trzy sklepy w *Oleszycach*, w żółkiewskiem, a rozbili i okradli je do szczętu. Niewiele tam było towarów i gotówki, boć i sklepy nie wielkie, ale zawsze liczą tę stratę na pięćset nowych reńskich. Mówią niektórzy, iż kto wie czy to nie banda cyganów, bo ich tam widzieli temi dniami w okolicy Oleszyc; ale pewności nie ma żadnej, jedno to smutne przeświadczenie, że jeszcze dość złodziei i rabusiów na tym grzesznym świecie!

Siłacz nad siłacze. Hej, hej mocny Boże! inni to dawniej ludzie żyli na tej naszej ziemi! — Inni na duszy i inni na ciele. Dusza była poczciwa, dobra i pobożna jakby u anioła, a ciało duże, silne i krzepkie jakby u jakiego wielkoluda.

Owóż jednym takim siłaczem był niejaki Stanisław *Ciołek*, wojewoda mazowiecki. Cud Boży, co to za moc była u tego Stanisława! Jeszcze takim małym bachorem był, że ledwie się dopiero chodzić nauczył, a już dwóch wielkich ludzi podniósł w ramionach. A gdy urosł w chłopię, co mu, uczciwszy uszy, jeszcze smarkaczem nazywać się należało, to ci już był wierutnym dziwolągiem i takie dziwa wyrabiał, że poczciwi ludzie swym własnym oczom wierzyć nie chcieli gdy się temu wszystkiemu przypatrywali.

Raz sobie jedzie ten Stanisław Ciołek przez miasto jakieś i patrzy, a tu czterdzieści drągalów męczą się około wielkiego dzwona, aby go zanieść na wieżę kościelną. Ale co tylko trochę podniesą dzwon w górę, to znowu go puścić muszą i ani rusz sobie rady dać nie mogą. Jak-ci to zobaczył Ciołek, pobiegł ku dzwonowi, poroztrącał robotników — a plunąwszy w garść wziął ten ogromny dzwon na ręce i zaniósł go bez żadnych ceregieli prosto na wieżę. Strasznie się ci ludzie ulękli i myśleli sobie, że to sam djabeł żywy, toż poklękali jedni i poczęli się żegnać, a drudzy co rychło pouciekali. A Ciołek uśmiawszy się do syta siadł do pojazdu i pojechał dalej.

Inną razą znowu zjadł sobie Ciołek porządny objad i wyszedł tak trochę przejść się po polu. Gdy tak sobie idzie, widzi siła ludzi, co stawiali groblę przy rzece i strasznie się męczyli nad kłodą a nie mogli jej podźwignąć. Zbliżył się do nich pan Ciołek i zapytał:

— A no, czy wy takie niezdary czy kłoda taka ciężka?

— Oj! kłoda, kłoda taka ciężka — odpowiedzieli robotnicy.

— Nieprawda, nicponie! patrzajcie! huknął Ciołek i jak nie uchwyci za ową ciężką kłodę i jak nie zacznie nią wymachiwać po nad głową, tak jakby jaką lekkuchną paliczką albo łozowym pręcikiem. A robotniki w nogi, i nie obejrzeli się nawet ze strachu.

Są i dziś tędzy ludzie, ale tacy siłacze to się już nie rodzą.

Pogoda. Przecież od kilku dni mamy już ciepłą pogodę wiosenną, a zgoła się już wydawało, że zima na świeżo chce do nas zaglądać, takie były przykre wiatry i deszcze, i śniegi nie rzadko. Owóż nie w jednem miejscu zaszkodziło oziminie to zimno obrzydłe, aleć pokazało się też zaraz, że ***nie ma tego złego coby na dobre nie wyszło***, bo te śniegi i deszcze wyniszczyły szarańczę, co się u nas zeszłego roku zagnieździła. Kto wie, czyby bez tego nie było znowu siła świeżego kłopotu i nieszczęścia z owem skrzydlatem paskudztwem. Zresztą przy końcu były już i cieplejsze deszcze, a deszcz w Maju, to tak jak zbawienie dla grzesznej duszy, boć przecie mówią starzy:

Suchy Marzec, mokry Maj,
Będzie żytko niby gaj.

Jest więc nadzieja w litościwym Bogu, że nam pobłogosławi nasze zasiewy!

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.